REJESTR DOTYCZY:

Nr. rejestracyjny

KON Zygmunt

z d. .....

s/c Henryka i Natalii

z d. Fryszmanów

ur. 1.12.1904 w Warszawa

kraj: .....

zm. 2.10.1981 w Hove

kraj: Wielka Brytania

pochowany spopielony

Dane personalne

Dziennikarz

żołnierz 2 Korpusu

Źródła i bibliografia

Tydzień Polski 10 i 24.10.1981 - nekrologi

Dziennik Polski 13, 14 i 15.10.1981 - nekrologi

Kwestionariusz biograficzny dla członków Związku Dziennikarzy R.P. w Londynie

OSOBISTE

NA Instytut Polski i Muzeum im. Gen. Sikorskiego (20 Princes Gate, London SW7). Zamiast kwiatów na grób Zygmunta Kona, przyjaciela Instytutu, z wdzięczną pamięcią składa £10 Aniela Mieczysławska. 1290

"DP" 16/X/81

"DP" 6/I/1982

OSOBISTE

ABY uczcić pamięć Zygmunta Kona wpłacili na Fundatora Teatru w POSK-u Nr 29: Drukarnia Dziennika w Hove £27; po £20: Czarneccy, Gnatowski, T. Karren i Wacław Zagórscy, Piskorowie, Wiśniewscy; po £15: T. i U. Święciccy, Alicja Drwęska, W. Płazak, Racięscy; po £10: Czaplicey, Czerwińscy, Czułowski, Dorwska, Fabian, Herndorf, Kirsch, Koller, Nałęcz, Paczowska, Poray, Pohlmann, Pupejko, Różyccy, Sędzielowski, Szumscy, Terne, Taylor, Werakso, Zbyszewscy, Opieński, Sobotkiewicz, Kostrzewski, J. J. Fiala, Heath, Przedmoyski, Moniak, Sulatycki, Magiera; po £5: Czyż, Czerwińska, Ludwig, Topacz. 7034

"DP" OSOBISTE 15/X/81

DLA uczczenia pamięci redaktora Zygmunta Kona, nieodżałowanego przyjaciela Koła Kobiet Żołnierzy PSZ składają na Fundację Sztandarów, 20 Princes Gate London SW7 po £5: Stanisława Hippowa, Maria Parolowa, Jadwiga Woyno, £10 Jadwiga Morozewicz. 1279

Uwagi:

2 Polski Korpus w Italii

ADRES: 14 "arwick Mansions, Cromwell ~res. London SW5

"DP" 15/X/81

Nieodżałowanej pamięci

ZYGMUNT KON

PRAWNIK, EKONOMISTA, DZIENNIKARZ

więzień łagrów sowieckich, żołnierz Drugiego Korpusu, wieloletni pracownik redakcji „Dziennika Polskiego" i „Tygodnia", do ostatnich chwil życia całą duszą oddany swej pracy, zmarł w Hove 2 października 1981 roku.

Zgodnie z wolą Zmarłego Jego zwłoki zostaną spopielone. Spopielenie odbędzie się w Mortlake Crematorium w piątek 16 października o godz. 2 po południu.

Z głębokim żalem żegnamy kochanego Kolegę i Przyjaciela.

„DZIENNIK POLSKI I DZIENNIK ŻOŁNIERZA"

KOLEDZY I PRZYJACIELE

Zamiast kwiatów na trumnę prosimy o ofiary na krzesło im. Zygmunta Kona w Teatrze w POSK-u, 240 King Street, London W6 ORF.

2951

"TP" 10/X/81

Nieodżałowanej pamięci

ZYGMUNT KON

PRAWNIK, EKONOMISTA, DZIENNIKARZ

więzień łagrów sowieckich, żołnierz Drugiego Korpusu, wieloletni pracownik redakcji „Dziennika Polskiego" i „Tygodnia", do ostatnich chwil życia całą duszą oddany swej pracy, zmarł w Hove 2 października 1981 roku.

Zgodnie z wolą Zmarłego Jego zwłoki zostaną spopielone. Spopielenie odbędzie się w Mortlake Crematorium w piątek 16 października o godz. 2 po południu.

Z głębokim żalem żegnamy kochanego Kolegę i Przyjaciela.

„DZIENNIK POLSKI I DZIENNIK ŻOŁNIERZA"

KOLEDZY I PRZYJACIELE

Zamiast kwiatów na trumnę prosimy o ofiary na krzesło im. Zygmunta Kona w Teatrze w POSK-u, 240 King Street, London W6 ORF.

2951

"DP" 14/X/81

Drogiego przyjaciela teatru i aktorów

dra ZYGMUNTA KONA

naszego kochanego i nieodżałowanego

„KONIKA"

żegna z głębokim żalem

ZWIĄZEK ARTYSTÓW SCEN POLSKICH

ZA GRANICĄ

2964

13/X/81 "DP"

Nieodżałowanej pamięci

ZYGMUNT KON

DZIENNIKARZ

magister prawa Uniwersytetu Warszawskiego, dyplomowany absolwent Szkoły Nauk Politycznych w Paryżu, więzień obozów sowieckich, żołnierz 2 Korpusu, ur. 1 grudnia 1904 roku w Warszawie, zmarł nagle 2 października 1981 w Hove, Sussex.

Drogiego przyjaciela o złotym sercu, z wielkim żalem i smutkiem żegnają

PRZYJACIELE W LONDYNIE
RODZINA ZA GRANICĄ

Pogrzeb odbędzie się w piątek 16 października o godz. 2 po południu w Mortlake Crematorium.

2960

KWESTIONARIUSZ BIOGRAFICZNY
DLA CZŁONKÓW ZWIĄZKU DZIENNIKARZY R.P. W LONDYNIE

1. Nazwisko i pełne imiona ..KON Zygmunt.....

2. Imiona rodziców i panieńskie nazwisko matki ..Henryk i Natalja z Fryszmanów.....

3. Stan (jeśli żonaty, nazwisko panieńskie żony i pełne imię) ..kawaler.....

4. Jeśli posiada potomstwo - imiona, rok i miejsce urodzenia ..bezdzietny.....

5. Zawód ..dziennikarz.....

6. Wykształcenie ..prawne, ekonomiczne i dyplomatyczne

7. Chronologiczny przebieg życia:
A. W Polsce: ur. 1.12.1904 w Warszawie, ukończył ...
...wydział prawny Un. Warsz. w 1926.....

B. Na obczyźnie (z uwzgl. kiedy Polskę opuścił i czy służył w W.P. na Zachodzie w okresie II wojny świat., podając informacje itp.) ..Opuścił Polskę w r. 1940.....
..był w Drugim Korpusie.....
..Londynie od 1946 r.....
..w Dzienniku Polskim od 1947.....

8. Przebieg pracy dziennikarskiej. Ważniejsze artykuły. .....artykuły, listy, felietony.....

9. Tytuły książek, których był autorem, miejsce i rok ukazania się .....

10. Odznaczenia (nie medale) polskie i obce ..Krzyż Monte Cassino.....

11. Organizacje, do których należy ..Zw. Dziennikarzy RP w Londynie.....
..Ognisko Polskie" w Londynie.....

12. Tytuły i edycje wydawnictw biograf. polskich i obcych, w których ukazały się noty biogr. (jak Who's who, S. Łozy "Czy wiesz kto to jest" itp.) .....

13. Dokładny adres 1) 14, Warwick Mansions, Cromwell Crescent, London SW5
2) 32 (illegible)

T.P. 24.X.81

„KONIK"

Tamara Karren

Zygmunta Kona poznałam jeszcze w Warszawie, przed wojną, w Ziemiańskiej na Mazowieckiej. Był z Jerzym Wendlem, swoim niemal nierozłącznym towarzyszem, który w przyszłości, już na emigracji, stał się i moim najbliższym i niezapomnianym przyjacielem. Nie pamiętam o czym wtedy rozmawialiśmy. Był to właściwie dialog dwóch erudytów, z pieprzykiem intelektualnej sprzeczki. Widywałam ich często na Mazowieckiej, jeden wysoki i chudy, z rozwianą czupryną, drugi drobny — stąd może zdrobnienie jego nazwiska „Konik", jakie mu przyjaciele nadali. Szli wolno, przystając, szeroko gestykulując (szczególnie Wendel) w nieustającej dyskusji. Nie zgadzali się w żadnej prawie sprawie, a dyskusje ich dotyczyły zarówno literatury, sztuki, jak wydarzeń światowych. Z równym temperamentem omawiali nową literaturę francuską, ostatni numer „Wiadomości Literackich" czy wojnę abisyńską. *De facto* patrzyli na świat podobnie i z tych zażartych sprzeczek wyrosła przyjaźń, która przetrwała i piękne czasy paryskie i lata w szczęśliwej wtedy Warszawie, i zawieruchę wojenną, zsyłkę do obozów sowieckich i lata wojska emigracji, aż do dramatycznego odejścia Wendla. Może dzisiaj, po tak bolesnej dla nas stracie Zygmunta tu na „ziemskim padole" — znowu obaj siedzą sobie razem na jakiejś chmurce, popijając niebiańską kawę i dyskutując względność przemijającego czasu.

Czytaliśmy w ostatnich dniach parę wspomnień o Zygmuncie, interesujących i serdecznych, na jego pogrzebie wypowiedziano kilka pięknych słów — w niczym, co czytałam, nie podkreślano dostatecznie cech najbardziej dla niego charakterystycznych: poczucia humoru i przekory, cech, które wypływały jedna z drugiej. Ten tak wszechstronnie wykształcony człowiek, znający literaturę francuską, polską a chyba i angielską jak mało kto, tak głęboko kulturalny — lubił z siebie robić „głupka". Przy jego nieco humorystycznym wyglądzie — niski, w rzadko dopasowanym ubraniu, z kieszeniami wypchanymi papierami, książkami, gazetami przeważnie już dawno nieaktualnymi, z wiecznie przez siebie samego skręconym papierosem w ustach — przez wielu był brany za takiego. Przy całej sumienności i oddaniu swej pracy w „Dzienniku" i w „Tygodniu Polskim" często pisał jakieś „michałki" ośmieszające (w przesadnych panegirykach) osoby o których pisał, a przez to i samego siebie. Gdy go pytałam dlaczego to robi, odpowiadał: „Bo mnie to bawi". Gdyby go jego praca nie bawiła — nie pracowałby w tym zawodzie.

Często o tym mówiliśmy. Że kochał teatr i aktorki (szczególnie pieśniarki) — o tym wiemy i o tym już pisano. Szalenie interesowały go tualety pań które adorował lub z którymi się przy-

nie zgadzać. Bielał mu wtedy nos (jak Wendlowi) i wybuchał nieopanowanym gniewem. Zdarzało mu się to bardzo rzadko. Ja zetknęłam się z tą jego cechą tylko raz. Natomiast dużo częściej z przekorą. A najczęściej z dobrocią, przyjaźnią, chęcią przyjścia z pomocą.

Był to ekscentryk (jeden z ostatnich ekscentryków-intelektualistów typu przedwojennego), abnegat, bałaganiarz. Kto nie widział jego pokoju — nie wie co to znaczy bałagan. Jak on się w tym chaosie orientował, żeby zawsze znaleźć potrzebny artykuł czy zdjęcie — nikt nie rozumiał. Ale raz i on nie dał rady. Było to przed wielu laty. Mieszkał wtedy w maleńkim, tanim umeblowanym pokoju na Earls Courcie. Jednego dnia postanowił zmienić ten pokój na inny w tym samym domu. Próbowałam go od tego odwieść, bo pokój, co prawda duży, był dwa razy droższy i wcale taki mu nie był potrzebny. Przeprowadził się jednak. Okazało się, że był to jedyny sposób, aby znalazł swój paszport. Przenosząc swój bałagan z jednego pokoju do drugiego — dokopał się wreszcie do paszportu. A chciał jechać wtedy do Paryża.

Interesowały g rozmowy na każdym szczeblu społecznym czy wykształcenia. W tymże samym domu na Earls Courcie była sprzątaczka, wyjątkowo niesympatyczna, dość agresywna, do tego nudna i głupia baba. Zygmunt rozmawiał z nią godzinami i twierdził że dużo się od niej interesujących rzeczy dowiedział.

Jego życie prywatne było otoczone tajemnicą, choć chyba nie miał co ukrywać. Nigdy nie mówił dokąd wychodzi, kiedy wróci, dokąd wyjeżdża na urlop. Na kolacji u najbliższych przyjaciół nie powiedział, że nazajutrz rano wyjeżdża po raz pierwszy na miesiąc do Stanów Zjednoczonych. A potem z podróży przychodziły od niego kartki z różnych egzotycznych miejsc z wielkim „Z" jako znakiem rozpoznawczym. Wyciągał od innych wiadomości i ploteczki (które ubóstwiał), sam nigdy nic nie powtarzał i był wzorem dyskrecji. Był jedyną osobą, której bez lęku można było powierzyć każdą tajemnicę.

Gdy w sierpniu po raz ostatni wyjeżdżał na urlop — nie powiedział, że jedzie do Polski. Dopiero po powrocie powiedział gdzie był. Zjechał Polskę wzdłuż i wszerz, był w najmniejszych dziurach, ot tak, zawsze ciekaw wszystkiego. Jeździł sam, autobusem czy koleją, nie od krewnego do przyjaciela, od przyjęcia do wypitki, ale po prostu jeździł po kraju, oglądał, wczuwał się w to, co tam się dzieje. Po jego powrocie rozmawialiśmy z nim niestety tylko telefonicznie; byłam sama przed wyjazdem na urlop, o ileż bardziej konwencjonalny! Umówiliśmy się, że gdy wrócę, spotkamy się na „duże pogadanie". Nie wiedziałam, że nie zdążę nie tylko na rozmowę, ale nawet na jego pogrzeb.

O jego dobroci, koleżeńskości,

patrzyli na świat podobnie i z tych zażartych sprzeczek wyrosła przyjaźń, która przetrwała i piękne czasy paryskie i lata w szczęśliwej wtedy Warszawie, i zawieruchę wojenną, zsyłkę do obozów sowieckich i lata wojska emigracji, aż do dramatycznego odejścia Wendla. Może dzisiaj, po tak bolesnej dla nas stracie Zygmunta tu na „ziemskim padole" — znowu obaj siedzą sobie razem na jakiejś chmurce, popijając niebiańską kawę i dyskutując względność przemijającego czasu.

Czytaliśmy w ostatnich dniach parę wspomnień o Zygmuncie, interesujących i serdecznych, na jego pogrzebie wypowiedziano kilka pięknych słów — w niczym, co czytałam, nie podkreślano dostatecznie cech najbardziej dla niego charakterystycznych: poczucia humoru i przekory, cech, które wypływały jedna z drugiej. Ten tak wszechstronnie wykształcony człowiek, znający literaturę francuską, polską a chyba i angielską jak mało kto, tak głęboko kulturalny — lubił z siebie robić „głupka". Przy jego nieco humorystycznym wyglądzie — niski, w rzadko dopasowanym ubraniu, z kieszeniami wypchanymi papierami, książkami, gazetami przeważnie już dawno nieaktualnymi, z wiecznie przez siebie samego skręconym papierosem w ustach — przez wielu był brany za takiego. Przy całej sumienności i oddaniu swej pracy w „Dzienniku" i w „Tygodniu Polskim" często pisał jakieś „michałki" ośmieszające (w przesadnych panegirykach) osoby o których pisał, a przez to i samego siebie. Gdy go pytałam dlaczego to robi, odpowiadał: „Bo mnie to bawi". Gdyby go jego praca nie bawiła — nie pracowałby w tym zawodzie.

Często o tym mówiliśmy. Że kochał teatr i aktorki (szczególnie pieśniarki) — o tym wiemy i o tym już pisano. Szalenie interesowały go tualety pań które adorował lub z którymi się przyjaźnił. Zawsze pytał co to za model, „czy to Dior?" (jakoś specjalnie upodobał sobie ten dom mody), musiał dotknąć materiału, obejrzeć właścicielkę tualety od stóp do głów, a nawet z typowym dla siebie uśmieszkiem próbował zajrzeć co w tualecie się kryje. Pamiętam, jak raz wydawało mi się, że spłatałam mu złośliwy kawał. Na jednym z dawnych bali ZASP-u (były takie czasy), nosiłam szkarłatną suknię w kwiaty (od skromnego Barkersa, nie od Diora). Konik zapytał, jak zwykle: czy to Dior i jaki to kolor. Powiedziałam: *„café frappé"*. Po kilku dniach w „Dzienniku" ukazała się wzmianka o różnych paniach i strojach na tym balu, a o mnie, że nosiłam *„szkarłatną suknię koloru café frappé"*. Uśmiałam się, że Konik tak dał się nabrać, on, który tak świetnie znał język francuski. Gdy mu to powiedziałam, zaśmiał się: „Kiedy mnie to bawi, niech myślą, że ja nie wiem".

Nie daj Boże było się z nim się, że był to jedyny sposób, aby znalazł swój paszport. Przenosząc swój bałagan z jednego pokoju do drugiego — dokopał się wreszcie do paszportu. A chciał jechać wtedy do Paryża.

Interesowały g rozmowy na każdym szczeblu społecznym czy wykształcenia. W tymże samym domu na Earls Courcie była sprzątaczka, wyjątkowo niesympatyczna, dość agresywna, do tego nudna i głupia baba. Zygmunt rozmawiał z nią godzinami i twierdził że dużo się od niej interesujących rzeczy dowiedział.

Jego życie prywatne było otoczone tajemnicą, choć chyba nie miał co ukrywać. Nigdy nie mówił dokąd wychodzi, kiedy wróci, dokąd wyjeżdża na urlop. Na kolacji u najbliższych przyjaciół nie powiedział, że nazajutrz rano wyjeżdża po raz pierwszy na miesiąc do Stanów Zjednoczonych. A potem z podróży przychodziły od niego kartki z różnych egzotycznych miejsc z wielkim „Z" jako znakiem rozpoznawczym. Wyciągał od innych wiadomości i ploteczki (które ubóstwiał), sam nigdy nic nie powtarzał i był wzorem dyskrecji. Był jedyną osobą, której bez lęku można było powierzyć każdą tajemnicę.

Gdy w sierpniu po raz ostatni wyjeżdżał na urlop — nie powiedział, że jedzie do Polski. Dopiero po powrocie powiedział gdzie był. Zjechał Polskę wzdłuż i wszerz, był w najmniejszych dziurach, ot tak, zawsze ciekaw wszystkiego. Jeździł sam, autobusem czy koleją, nie od krewnego do przyjaciela, od przyjęcia do wypitki, ale po prostu jeździł po kraju, oglądał, wczuwał się w to, co tam się dzieje. Po jego powrocie rozmawialiśmy z nim niestety tylko telefonicznie; byłam sama przed wyjazdem na urlop, o ileż bardziej konwencjonalny! Umówiliśmy się, że gdy wrócę, spotkamy się na „duże pogadanie". Nie wiedziałam, że nie zdążę nie tylko na rozmowę, ale nawet na jego pogrzeb.

O jego dobroci, koleżeńskości, lojalności, gotowości do okazania pomocy, której doznawałam i wszyscy doznawaliśmy od lat — nie będę się rozwodzić.

Kochany Koniku, mam nadzieję, że nie masz do mnie żalu, że piszę o Tobie wspomnienie pośmiertne tak lekko, prawie wesoło. Nie znosiłeś „pompy" ani wielkich słów. Może lekko się uśmiechniesz tam gdzie jesteś do jakiegoś z moich wspomnień. A może jednego dnia spotkamy się razem z Wendlem w jakiejś niebieskiej kawiarence i wszystko sobie opowiemy. A więc do zobaczenia?...

WACŁAW SOLSKI

DYM

Wiersze osobiste

Cena £1.50, przesyłka 30p

Do nabycia w księgarniach

i

Polska Fundacja Kulturalna

9 Charleville Road

London, W14 7JL.

D.P. 4.10.1996

W 15 rocznicę śmierci Zygmunta Kona
JESIENNY STARSZY PAN


Zygmunt Kon

W tytule tych wspomnień sparafrazowałem śpiewaną przed laty przez Krystynę Konarską piosenkę o jesiennym, śmiesznym, starszym panu. Jej klimat bardzo pasuje do postaci Zygmunta Kona, zwanego przez wszystkich „Konikiem". Z tą tylko różnicą, że nie był śmieszny. Był erudytą, człowiekiem wielce wykształconym o głębokiej, usystematyzowanej wiedzy. Posiadał przy tym specyficzne, subtelne poczucie humoru, zabarwione odrobiną ironii, złośliwości, czy nawet kpiny. Rzadko zdarzają się ludzie o takiej kombinacji przymiotów, gdyż zazwyczaj wykształceni uchodzą za nadętych, ci zaś z poczuciem humoru – za dyletantów. Był swoistym oryginałem – indywidualnością nader rzadko spotykaną. Tajemniczy, zamknięty w sobie, krążył własnymi szlakami. Znikał nieraz na całe dnie, czy tygodnie, po czym – niespodziewanie – pojawiał się tam, gdzie w danym momencie być powinien. Ze względu na cięty, nieraz złośliwy język oraz błyskotliwość reakcji był duszą towarzystwa. Wiedział właściwie wszystko o wszystkich. Uwielbiał plotki, ale – jeśli sam o kimś plotkował – to na zasadzie zabawnych anegdotek. Nigdy nikogo nie oczernił. To nie był jego styl.

Pamiętam wieczory spędzone w domu Jeśmanów w Hove, dokąd często wpadał. I rozmowy, jakie prowadził z gospodarzem, Czesławem Jeśmanem – lekkie, dowcipne, a jednocześnie poparte głęboką znajomością zagadnień, o jakich rozmawiali. Czasem orgie śmiechu trwały w nieskończoność. Podczas którejś z rozmów Teresie Jeśmanowej umknęło z pamięci jakieś nazwisko.

– Panie Zygmuncie, zapomniałam... Już chyba zupełnie zidociałam – powiedziała półżartem.

– Zawsze wiedziałem, że ma pani o sobie jak najlepsze mniemanie – odpowiedział Kon z najbardziej w świecie serio miną.

Niczym ping-pong przemieszczał się między Hove – gdzie w domu należącym kiedyś do drukarni „Dziennika", Caldra House, miał pokój – a Londynem. Tam dzielił mieszkanie ze świetnym aktorem, Mieczysławem Maliczem. W Hove redagował i łamał, na zmianę z Wacławem Zagórskim, „Tydzień", a także – w weekendy – „Dziennik". W owych czasach prasę naszą składano jeszcze w metalu. Do dziś mam przed oczami tego niskiego mężczynę w okularach, chodzącego po hali drukarni z nieodłącznym papierosem. Palił skręta.

Był wybornym redaktorem, choć pisywał niewiele. Robił głównie komentarze pod umieszczanymi w prasie zdjęciami tutejszych artystów. Podpisy te od strony dziennikarsko-informacyjnej były bez zarzutu. Zawierały jednak sporo ukrytej ironii, czy złośliwości. Kiedyś np. pod zdjęciem Toli Korian w roli Dulskiej zamieścił informację o najbliższych występach artystki, po czym swój wywód skończył stwierdzeniem, że największą koneserką twórczości Zapolskiej jest Tamara Karren-Zagórska. Była to aluzja do jej sztuki „Pani Gabriela".

Na przełomie 1979-80 r. pracowałem przez kilkanaście miesięcy w drukarni „Dziennika". W tym czasie miałem z nim najwięcej do czynienia. Kiedyś złożyłem jakiś nieciekawy artykuł, w którym było wiele nieścisłości, wręcz bzdur. Spytałem, dlaczego zdecydował się umieścić go w gazecie, i to z takimi merytorycznymi błędami? Spojrzał na mnie zza okularów i powiedział:

– Proszę pana, każdego autora trzeba pozostawić w pełni okazałości jego nadęcia i głupoty.

Słowo „autora" wymówił skandując każdą literę.

Któregoś dnia Stanisław Baliński dał do druku w „Środzie Literackiej" jakąś moją surrealistyczną miniaturę, w której to wampirzyca zaplątała mi się we włosach. Kon stanął nade mną z manuskryptem w ręce. Spojrzał wymownie, i po chwili, rzekł:

– Niech pan zetnie włosy. Obiecuję, że wampiry dadzą panu wtedy święty spokój!

Nie było tygodnia, aby nie zamieścił zdjęcia Weroniki Bell-Ignatowicz lub Ireny Delmar. Zawsze opatrzone były najbardziej nieprawdopodobnymi komentarzami. Legendą jest jego notatka o „sukcesie Ireny Delmar". A więc duży nagłówek informujący o tym sukcesie. Pod nim jedno zdanie o tym gdzie i kiedy Delmar wystąpiła. Następnie, że telegram z gratulacjami przysłała jej z Paryża Weronika Bell. Reszta – kilkanaście następnych zdań – poświęconych wyłącznie Weronice Bell. Numer ten powtórzył Malicz w swojej rewii z 1981 r. Krążyły plotki, że Kon podkochiwał się, jeśli nie w obydwu, to przynajmniej w jednej z tych pań, co było oczywistą bzdurą. Celowo stwarzał takie pozory, po to, aby żyć własnym, niezależnym życiem, do którego nikt nie miał dostępu. A to, co ludzie o nim mówili, nie obchodziło go. Co najwyżej – bawił się tym.

W stosunku do kobiet był pełen kurtuazji. Posiadał liczne grono tzw. „przyjaciółek", do których wpadał na drinka i wymianę ploteczek. Często zapraszał je na kolacje. Pamiętał o ich imieninach. Pod tym względem był pedantem. Każda z nich w dniu imienin znajdowała w skrzynce na listy buteleczkę z perfumami. Zaprzyjaźniony był m.in. z Jadwigą Rostowską, u której zresztą go poznałem. Któregoś roku solenizantka

– Tamara, wytłumacz mi, co to znaczy „kongenialny" – poprosiła żartobliwo–zaczepnie Rostowska. – Czy znaczy to, że Pietrkiewicz jest bardziej genialny od Kona, czy mniej?

Dwa dni później otrzymała list od Tamary Karren. Na czerpanym, oliwkowym papierze pisała: „Kochana Jadziu, słowo kongenialny znaczy..." Tu przytoczona była jego definicja, źródło, z którego pochodziła, po czym strona i rok wydania. Gdy Kon o tym usłyszał, stwierdził, że zamieści tę informację w „Dzienniku".

– Jak śmiesz – oburzyła się Rostowska. – Przecież to jest prywatna historia, nie mająca nic wspólnego z dziennikowymi ciekawostkami!

– Może masz rację – przyznał Kon spoglądając na nią. – W końcu „Dziennik" to nie „Decameron".

Rokrocznie w Hove odbywały się imieniny pana Zygmunta. Zapraszał na nie wszystkich. Któregoś roku, po zakończonej imprezie wieloletnia pracowniczka drukarni, Marysia Majtasowa, spytała go:

– Panie Zygmuncie, jak to się dzieje, że po imieninach innych pracowników zostaje dużo wody sodowej, a u pana odwrotnie. Zabrakło wody, a zostało jeszcze tyle whisky?

– Widocznie moja woda sodowa jest najlepsza – stwierdził, po czym zaczął wszystkim nalewać kolejnego, nie wiadomo już którego, „strzemiennego".

W tym czasie, drugim obok niego, tzw. dziennikowym charakterem był Karol Zbyszewski, pełniący wówczas funkcję redaktora naczelnego. Czy lubili się? Raczej nie. Mieli jednak w stosunku do siebie sporo szacunku. Tolerowali się. Kiedyś zastałem w redakcji Zbyszewskiego przeglądającego „Dziennik". Odłożył gazetę i głośno zastanawiał się:

– Dlaczego Kon znowu wypisuje takie bzdury? Straszne z niego dziwadło.

Kilka dni później rozmawiałem z Konem i projekcie jakiegoś, kolejnego artykułu, nad którym pracowałem. Jak zwykle spojrzał znad okularów i powiedział:

– Podoba mi się pański pomysł. Nie wiem jednak, czy Zbyszewski to puści, przecież to największy dziwak na świecie!

I wreszcie Kon na corocznych ZASP-owych opłatkach – z czasów, gdy ZASP był jeszcze ZASP-em, kiedy żyli znakomici artyści, śpiewacy i aktorzy. Była to wówczas jedna z najpopularniejszych imprez towarzyskich. Miejsca trzeba było rezerwować znacznie wcześniej. Kon przy takich okazjach nie pomijał nikogo. Przysiadał się na chwilę do kolejnych stolików, z każdym wymieniał jakieś plotki, czy opowiadał anegdoty.

– Przed chwilą popełniłem faux pas – wyznał któregoś roku siedzącej obok mnie Marii Arczyńskiej. Powtórzyłem



Zygmunt Kon

kiem". Z tą tylko różnicą, że nie był śmieszny. Był erudytą, człowiekiem wielce wykształconym o głębokiej, usystematyzowanej wiedzy. Posiadał przy tym specyficzne, subtelne poczucie humoru, zabarwione odrobiną ironii, złośliwości, czy nawet kpiny. Rzadko zdarzają się ludzie o takiej kombinacji przymiotów, gdyż zazwyczaj wykształceni uchodzą za nadętych, ci zaś z poczuciem humoru – za dyletantów. Był swoistym oryginałem – indywidualnością nader rzadko spotykaną. Tajemniczy, zamknięty w sobie, krążył własnymi szlakami. Znikał nieraz na całe dnie, czy tygodnie, po czym – niespodziewanie – pojawiał się tam, gdzie w danym momencie być powinien. Ze względu na cięty, nieraz złośliwy język oraz błyskotliwość reakcji był duszą towarzystwa. Wiedział właściwie wszystko o wszystkich. Uwielbiał plotki, ale – jeśli sam o kimś plotkował – to na zasadzie zabawnych anegdotek. Nigdy nikogo nie oczernił. To nie był jego styl.

Pamiętam wieczory spędzone w domu Jeśmanów w Hove, dokąd często wpadał. I rozmowy, jakie prowadził z gospodarzem, Czesławem Jeśmanem – lekkie, dowcipne, a jednocześnie poparte głęboką znajomością zagadnień, o jakich rozmawiali. Czasem orgie śmiechu trwały w nieskończoność. Podczas którejś z rozmów Teresie Jeśmanowej umknęło z pamięci jakieś nazwisko.

– Panie Zygmuncie, zapomniałam... Już chyba zupełnie zidiociałam – powiedziała półżartem.

– Zawsze wiedziałem, że ma pani o sobie jak najlepsze mniemanie – odpowiedział Kon z najbardziej w świecie serio miną.

Niczym ping-pong przemieszczał się między Hove – gdzie w domu należącym kiedyś do drukarni „Dziennika", Caldra House, miał pokój – a Londynem. Tam dzielił mieszkanie ze świetnym aktorem, Mieczysławem Maliczem. W Hove redagował i łamał, na zmianę z Wacławem Zagórskim, „Tydzień", a także – w weekendy – „Dziennik". W owych czasach prasę naszą składano jeszcze w metalu. Do dziś mam przed oczami tego niskiego mężczynę w okularach, chodzącego po hali drukarni z nieodłącznym papierosem. Palił skręty. Już swoim wejściem wnosił jakieś ożywienie, specyficzną atmosferę. Lubił rozmawiać z drukarzami. Zawsze miał w zanadrzu jakiś dowcip, czy żart. Z kieszeni wystawały mu, czasami wręcz ciągnęły się za nim, metry wąsko pociętego papieru z odbitymi galejkami złożonych już artykułów, przeznaczonych do korekty.

Kieszenie Kona – to osobna sprawa. Ubierał się drogo, w klasyczne garnitury najwyższej jakości. Nosił je jednak w sposób bardziej niż niedbały, nonszalancki, a kieszenie miał maksymalnie wypchane. Było w nich wszystko. O cokolwiek zagadnęło się pana Zygmunta, choćby o jakiś nieważny artykuł, sprzed kilku dni, tygodni, czy miesięcy – natychmiast znajdował go w którejś kieszeni. Czasami zastanawiałem się, czy nie jest magikiem, a jego kieszenie czymś w rodzaju rogu obfitości.

ironii, czy złośliwości. Kiedyś np. pod zdjęciem Toli Korian w roli Dulskiej zamieścił informację o najbliższych występach artystki, po czym swój wywód skończył stwierdzeniem, że największą koneserką twórczości Zapolskiej jest Tamara Karren-Zagórska. Była to aluzja do jej sztuki „Pani Gabriela".

Na przełomie 1979-80 r. pracowałem przez kilkanaście miesięcy w drukarni „Dziennika". W tym czasie miałem z nim najwięcej do czynienia. Kiedyś złożyłem jakiś nieciekawy artykuł, w którym było wiele nieścisłości, wręcz bzdur. Spytałem, dlaczego zdecydował się umieścić go w gazecie, i to z takimi merytorycznymi błędami? Spojrzał na mnie zza okularów i powiedział:

– Proszę pana, każdego autora trzeba pozostawić w pełni okazałości jego nadęcia i głupoty.

Słowo „autora" wymówił skandując każdą literę.

Któregoś dnia Stanisław Baliński dał do druku w „Środzie Literackiej" jakąś moją surrealistyczną miniaturę, w której to wampirzyca zaplątała mi się we włosach. Kon stanął nade mną z manuskryptem w ręce. Spojrzał wymownie, i po chwili, rzekł:

– Niech pan zetnie włosy. Obiecuję, że wampiry dadzą panu wtedy święty spokój!

Nie było tygodnia, aby nie zamieścił zdjęcia Weroniki Bell-Ignatowicz lub Ireny Delmar. Zawsze opatrzone były najbardziej nieprawdopodobnymi komentarzami. Legendą jest jego notatka o „sukcesie Ireny Delmar". A więc duży nagłówek informujący o tym sukcesie. Pod nim jedno zdanie o tym gdzie i kiedy Delmar wystąpiła. Następnie, że telegram z gratulacjami przysłała jej z Paryża Weronika Bell. Reszta – kilkanaście następnych zdań – poświęconych wyłącznie Weronice Bell. Numer ten powtórzył Malicz w swojej rewii z 1981 r. Krążyły plotki, że Kon podkochiwał się, jeśli nie w obydwu, to przynajmniej w jednej z tych pań, co było oczywistą bzdurą. Celowo stwarzał takie pozory, po to, aby żyć własnym, niezależnym życiem, do którego nikt nie miał dostępu. A to, co ludzie o nim mówili, nie obchodziło go. Co najwyżej – bawił się tym.

W stosunku do kobiet był pełen kurtuazji. Posiadał liczne grono tzw. „przyjaciółek", do których wpadał na drinka i wymianę ploteczek. Często zapraszał je na kolacje. Pamiętał o ich imieninach. Pod tym względem był pedantem. Każda z nich w dniu imienin znajdowała w skrzynce na listy buteleczkę z perfumami. Zaprzyjaźniony był m.in. z Jadwigą Rostowską, u której zresztą go poznałem. Któregoś roku solenizantka otrzymała perfumy, które nie przypadły jej do gustu. Zrobiła mu telefoniczną awanturę. Oczywiście, był to z jej strony rodzaj żartu.

– Jak śmiesz – mówiła do słuchawki Rostowska z narastającym natężeniem głosu – przysyłać mi takie perfumy! Coś takiego mogą używać tylko panienki z Shepherd's Market!

Następnego roku w skrzynce znalazła parę czarnych pończoch marki „Dior" z dopiskiem Kona: „Mam nadzieję, że Ci będzie w nich do twarzy".

Z Jadwigą Rostowską związany jest jeszcze inny zabawny incydent. W 1980 r. Tamara Karren w swojej stałej rubryce „Obserwator", pisząc o Jerzym Pietrkiewiczu, stwierdziła m.in., że jest „kongenialnym tłumaczem". Obydwie panie – a znały się jeszcze z czasów szkolnych – spotkały się w Ognisku na premierze „Zabawy w koty" Orkeny'a.

słowo kongenialny znaczy..." Tu przytoczona była jego definicja, źródło, z którego pochodziła, po czym strona i rok wydania. Gdy Kon o tym usłyszał, stwierdził, że zamieści tę informację w „Dzienniku".

– Jak śmiesz – oburzyła się Rostowska. – Przecież to jest prywatna historia, nie mająca nic wspólnego z dziennikowymi ciekawostkami!

– Może masz rację – przyznał Kon spoglądając na nią. – W końcu „Dziennik" to nie „Decameron".

Rokrocznie w Hove odbywały się imieniny pana Zygmunta. Zapraszał na nie wszystkich. Któregoś roku, po zakończonej imprezie wieloletnia pracowniczka drukarni, Marysia Majtasowa, spytała go:

– Panie Zygmuncie, jak to się dzieje, że po imieninach innych pracowników zostaje dużo wody sodowej, a u pana odwrotnie. Zabrakło wody, a zostało jeszcze tyle whisky?

– Widocznie moja woda sodowa jest najlepsza – stwierdził, po czym zaczął wszystkim nalewać kolejnego, nie wiadomo już którego, „strzemiennego".

W tym czasie, drugim obok niego, tzw. dziennikowym charakterem był Karol Zbyszewski, pełniący wówczas funkcję redaktora naczelnego. Czy lubili się? Raczej nie. Mieli jednak w stosunku do siebie sporo szacunku. Tolerowali się. Kiedyś zastałem w redakcji Zbyszewskiego przeglądającego „Dziennik". Odłożył gazetę i głośno zastanawiał się:

– Dlaczego Kon znowu wypisuje takie bzdury? Straszne z niego dziwadło.

Kilka dni później rozmawiałem z Konem i projekcie jakiegoś, kolejnego artykułu, nad którym pracowałem. Jak zwykle spojrzał znad okularów i powiedział:

– Podoba mi się pański pomysł. Nie wiem jednak, czy Zbyszewski to puści, przecież to największy dziwak na świecie!

I wreszcie Kon na corocznych ZASP-owych opłatkach – z czasów, gdy ZASP był jeszcze ZASP-em, kiedy żyli znakomici artyści, śpiewacy i aktorzy. Była to wówczas jedna z najpopularniejszych imprez towarzyskich. Miejsca trzeba było rezerwować znacznie wcześniej. Kon przy takich okazjach nie pomijał nikogo. Przysiadał się na chwilę do kolejnych stolików, z każdym wymieniał jakieś plotki, czy opowiadał anegdoty.

– Przed chwilą popełniłem faux pas – wyznał któregoś roku siedzącej obok mnie Marii Arczyńskiej. – Powtórzyłem dziś wieczorem dwukrotnie ten sam dowcip. Zamyślił się i po chwili dodał:

– A zresztą, czy to jest aż tak istotne? Przecież ostatnio ludzie zapominają swoich nazwisk, nie mówiąc już o adresach...

I tak, jak przystało na jesiennego starszego pana – jednego z ostatnich wytrawnych gentlemanów – odszedł jesienią. Przez długi czas odczuwało się brak Zygmunta Kona, szczególnie na różnych zbiegowiskach towarzyskich i premierach teatralnych. Na łamach „Dziennika" nie było jego żartobliwych, pisanych z przymrużeniem oka, komentarzy.

Redakcja „Dziennika" i przyjaciele zorganizowali mu świecki pogrzeb. Kilka dni później Mieczysław Malicz, porządkując papiery zmarłego, znalazł jego metrykę chrztu.

Lesław Bobka